

# ŚLĄSKI WESTERN

**Z JÓZEFEM KŁYKIEM, TWÓRCĄ AMATORSKICH FILMÓW, ROZMAWIA BARBARA POLAK**

**B.P.** – Pan zaczął budować swój świat i realizować pomysł na życie, będąc właściwie jeszcze dzieckiem, dzieckiem w PRL. A na początek – czy jako dzieciak, który fascynował się filmem, miał pan wyniesioną z domu jakąś naturalną świadomość polityczną – że jest komuna, że są jakieś ograniczenia, że jest jakieś kłamstwo?

**J.K.** – To jest Śląsk. Tu każdy ojciec był w Wehrmachcie, a tacy ludzie po wojnie byli prześladowani. Ojciec mi opowiadał, że jak wrócił jako żołnierz Andersa w 1947 r., to od razu musiał się ukrywać, już szukało go UB. Ukrywał się rok. Mojego dziadka już osądzili, uznali za Niemca. On w I wojnie światowej był oczywiście u Prusa. I nawet tak się zdarzyło, że ponad dwa tygodnie był w jednej kompanii z Hitlerem. Jako żołnierz, tamten był kapralikiem. Potem zgłosił się jako górnik do kopalni i wybył z tego całego frontu. A jak nastąpiła Polska, to mu mówili – ty jesteś Niemiec. A on był w Powstaniach Śląskich, nie mógł dostać potem pracy, bo był korfantystą. W końcu, jak robotę dostał, to mu powiedzieli: musisz się jakoś oczyścić i być w jakichś polskich związkach. Był w polskich związkach rolniczych. Jak w 1939 r. weszli Niemcy – o *meine Herrn*, wyście byli w polskich związkach, musicie się oczyścić. Całe Bojszowy tak żyły, tam prawie wszyscy byli w Wehrmachcie, bo nie brali ich do innego wojska. Pamiętam, jak byłem dzieckiem i siedzieliśmy u fryzjera, takiego wiejskiego, naszego, to on nas – cały ten rzudek łebków – strzygł na Hitlerjugend, bo tylko tak umiał strzyc. Siedzieliśmy tam u niego i słuchali, bo oni opowiadali wojnę – Jasiński bez nogi, Franek bez dwóch nóg, Noras bez ręki, szpity w nodze, oko uszkodzone. Same inwalidy wojenne, a w ich opowiadaniach – Luftwaffe, Kriegsmarine, Wehmarcht. To wszystko wiedziało się – że nie jest mile widziany Stalin, że nie jest mile widziany Bierut.

**B.P.** – A jak zaczęła się przygoda z kinem?

**J.K.** – Tak szczerze mówiąc, wychowywałem się w karczmie. Karczma w Bojszowach to było takie niezwykle miejsce. Wtedy w karczmie już było kino. To była magia. Ja się w tej karczmie bawiłem. Na naszej ulicy były same dziewczyny, bawiły się lalkami, a ja jeden tylko chłopak. Właścicielka karczmy pracowała w niej, bo przejął to GS. Pracowała w bufecie. Pytałem ją: czy mogę iść na strych? – A co tam będziesz robił? Na tym strychu były cudowne rzeczy. Oni przed wojną byli dość bogaci. Tam były stare motory, jeszcze takie dekawki, były przepiękne naczynia z porcelany, gospodarskie, jeszcze z gotyckimi napisami; w skórę oprawiane, pisane gotykiem niemieckie księgi – i powieści, i lekarskie, i o ziołach. Znalazłem tam całe roczniki „Filmwelt”, czyli takiego miesięcznika o kinie; fotografie w sepii. I były jeszcze takie księgi o różnych rzeczach – fauna, flora. W nich były miejsca na zdjęcia, wszystko już opisane, a zdjęcia kolorowe dostawało się, jak się kupowało jeden gatunek czekolady czy jeden gatunek papierosów. W opakowaniu były zdjęcia z numerkami, tylko przykleić. Ktoś już powypełniał te albumy zdjęciami. Była też wśród nich księga o Hollywood, wypełniona zdjęciami. Na przykład Charlie Chaplin buduje plan filmowy do *Gorączki złota*. Widziałem tory na planie filmowym, jest kamera,

światła, makieta miasteczka podparta od tyłu deskami. W szafie na strychu był melonik, laseczki, jakieś ubrania. Wkładałem ręce do kieszeni i znajdowałem np. bilet z teatru. Człowiek przyjechał z teatru, powiesił ubranie do szafy, potem przyszła wojna, ukrywał się i na koniec zginął w obozie. Zostały po nim te wszystkie ślady.

Odkrywałem to wszystko w późnych latach pięćdziesiątych. W 1959 lub 1960 r. były już w Bojszowach dwa telewizory, widziałem już olimpiadę z Rzymu. Telewizor był na górnych Bojszowach u Zimnola, sztygara. Miał odbiornik „thomson”. Oglądać przychodziło tak dużo ludzi, że my już staliśmy na dworze. Nic nie widzieliśmy, tylko nam opowiadali, co tam widać. Czasami przemykaliśmy się głębiej i oglądaliśmy coś między ludzkimi nogami. A w karczmie był pierwszy telewizor „belweder”. Złe było widać, ale to był stary budynek z okiennicami. Siedzieliśmy zawsze w ciemności, wtedy ekran był taki „soczysty”.

Oglądałem wszystkie pierwsze filmy Charlie Chaplina, bo to w naszej telewizji wtedy pokazywali. A potem szedłem na strych, i to wszystko tam stawało się dotykalne. Kiedyś znalazłem coś, w czym było miejsce na świecę i korbą. Przy zaciemnionym świetle włożyliśmy świecę, pokręciliśmy korbą. Coś zamigotało na ścianie, podczyściliśmy szkiełka i pojawił się galopujący koń. To była *laterna magica*. Było mnóstwo płytek szklanych z negatywami zdjęć, był aparat fotograficzny.

Cały czas było dla mnie zagadką, jak powstaje obraz w tej sali w karczmie na ekranie. Sprawdziłem – zwykła biała szmata, obciążona czarnym sukniem, a z okienka naprzeciwko jest blask, jest obraz, jest głos, potem wszystko niknie, nie wpuszczają nas tam. Skąd to leci? Trzeba było dotrzeć do tej aparatury. To był problem. No i był problem wejścia do kina, bo to były filmy od 14, od 16 i od 18 lat. Ja się w karczmie bawiłem, więc zanim się kino zaczęło, to już dwie godziny wcześniej stałem zawinięty w kotarach teatralnych. Jak ludzie poschodzili się i zgasto światło, to ja się odkręcałem z tego i patrzyłem na film, nielegalnie, bez pieniędzy. Czasami przeczekiwałem w kulisach dekoracyjnych. Wszystkie te pomysły wydały się, już przeszukiwali sale, już nas wygarniali. Tam były takie wysokie okna, jesienią nie trzeba było już zaciemniać sali, można było wyświetlać film, bo dzień był krótki, ale dolne części okien zastaniano, żeby ludzie z zewnątrz nie podglądali. Myśmy byli za mali, żeby patrzeć przez górną część, odśloniętą, a poza tym kierownik przechadzał się z bykowcem i wszystkich z tych okien przeganiał, kto nie zapłacił. Znalazłem sobie na chlewie stojącym przy karczmie okienko, przez które podawano siano, i stamtąd miałem widok prosto na ekran.

## B.P. – Wielu chłopaków tak się kinem fascynowało?

J.K. – Mnie ono ciągnęło szczególnie. Innych chłopaków ciągnąłem za sobą. Oni mówili – a nie, my już telewizor mamy, to już nie chodzimy. Pamiętam, jak zrobiłem pierwszy film kolorowy, to był 1968 r. – *Trzech muszkieterów*. Żeby mi ludzie dali do filmu konie, to zrobiliśmy własne kino objazdowe. Niedziela, wszyscy w domach, chodzimy od gospodarza do gospodarza, gdzie były konie. Wieszamy szmatę, zapraszamy sąsiadów. Będzie film. Gospodarz, światowiec, miał telewizor, ale czarno-biały. A my mu pokazujemy kolorowy film. Przeskoczyliśmy epokę. – Wyście to zrobili? To jest niemożliwe! Ja na tym polu orałem, ale tam tak pięknie nie ma. „ORWO” swoje zrobiło, dodało jeszcze barw. – Jak wy umiecie kolorowe filmy robić, to konie wasze!

Jak mój tata był bajtłem, w latach dwudziestych dwudziestego wieku, to już grały u nas teatry, przyjeżdżało do nas kino objazdowe. Oczywiście to było kino nieme, kręciło się na korbkę. Czasami wzywali takiego tapera, jakiegoś skrzypka miejscowego, przygrywał do tego, co było na ekranie. Jak było szybko, to szybko, a jak wolno, to wolniej. W latach



pięćdziesiątych w Bojszowach powstało kino stałe, a wtedy niektóre miasteczka nie miały kina. Ludzie, którzy to stworzyli, pan Knopek, pan Watoła, kupili stare włoskie auto, i grali trzy dni w Bojszowach – środa, sobota i niedziela – a w inne dni jechali do okolicznych wiosek. Repertuar był ciekawy. Pamiętam filmy „szkoły polskiej” z Cybulskim. W początkach lat sześćdziesiątych pojawiły się telewizory i one powoli zabijały kino. To już się zaczynało.

Na zachodnie filmy chodziło mnóstwo ludzi, a jak był film polski, to nas było czterech, pięciu. Szliśmy sprzedawać butelki, kupowaliśmy innym bilety, żeby nas było choć z dziesięciu, żeby film zagrali. Siedziałem zawsze do końca, choćby był nawet największy knot. Inni się nudzili, wychodzili. Ten operator się złościł – pierońskie gówniarze, do domu bym se podszedł. Ale on miał dobrze, tu była sala, a z tyłu, za salą był bufet. Czasami był gwar w barze i myśmy nie wiedzieli, czy to jest z kina, czy z baru, bo tam czasami już się prali. On siedział w barze, film leciał, a jak się taśma zerwała, to myśmy ryczeli. Taśma się pęłliła – pyk-pyk, pyk-pyk. Zwijał to w końcu, ale jak on niszczył te filmy! Czasem mi się płakać chciało. Miałem kupę pourywaną kawałków w kieszeniach i w domu je przeglądałem. Soczewki, lampka i na ekran. Nie było to ruchome, ale się uczyłem, że kawałek wziąłem tego filmu i wszystkie zdjęcia te same. Nic się nie zmienia, bo były 24 klatki na sekundę. To było takie badanie kina od podszewki, dotykanie, jak to wszystko działa.

Już w tych „Filmweltach” widziałem, w ogłoszeniach z tytu, że już wtedy były kamery 16 mm, wiedziałem, ile to wtedy, przed wojną, kosztowało marek. Czemu ja nie mam takiej kamery? Zacząłem się interesować, chodziłem do Fotooptyki i widzę, są – ruskie, po 700 zł. To było dość dużo w tamtym czasie, ale w końcu ją zdobyłem, miałem szesnaście lat. A wcześniej, już jako czternastolatek, zrobiłem stroje do *Trzech muszkieterów*. Miałem już wszystkie uszyte, chociaż nie wiedziałem jeszcze, czy to będę kręcił. Zrobiłem

też wszystkie stroje do Chaplina. Też chciałem go grać. Była już uszyta czarna peruka, wasek do przyklejenia, nawet pudry i farbki do malowania oczu miałem. Sam uszyłem chaplinowskie buty, takie za duże. Wszystko było gotowe. I poszczególne stroje, pasiak do uciezki z więzienia, mundur amerykańskiego policjanta. Wszystko czekało.

Jak w latach sześćdziesiątych kręciliśmy ten film, to nowojorską ulicę zrobiłem na moim podwórku. Dom był z cegły, zrobiliśmy na nim sztuczne okna, markizy, napisy amerykańskie. Taka była scena, jak on sprząta ulicę i w zapamiętaniu nabija papierki na specjalny szpikulec. Za rogiem budynku nabija na ten swój szpikulec but nadchodzącego policjanta. Kupa ludzi się temu przypatrywała. I pojawia się milicjant. Kto wam pozwala to robić?! Skąd macie kamerę? Pozwolenie na kręcenie filmu! A my za smarkaci byliśmy, żeby wiedzieć, że potrzebne jest jakieś pozwolenie. I dlaczego taki temat? To jest temat zły! Dlaczego Ameryka? I tak mnie pouczają.

### B.P. – Ile osób angażowało się w robienie filmów?

J.K. – Wtedy nas było trzech, czterech, a potem dobierałem łebków, jak mieliśmy większe sceny. Taki był Edmund Chrobok, jego interesowała technika. Mieli w domu „Młodego Technika”, inne gazety i ciągle coś robili – a to samolot, a to auto. Puszczaliśmy balony w powietrze. Raz zrobiliśmy takie kolorowe balony. Puściliśmy z za naszej zagrody. Najpierw to leżało na ziemi, a my podgrzewaliśmy denaturat rurą z pieca. Szło tam ciepło, szło i nagle wszystko się dźwignęło i poleciało! – Prosto na dom sekretarza partii, który właśnie jadł obiad. Drugi balon zleciał przed posterunkiem milicji. Oni się zbiegli. – Nie dotykać! To jest balon od pogody, meteorologiczny. – Chłopie, jakiś ty głupi, to my puściliśmy go z za stodoły!

Edzio się na tym wszystkim znał. A ja potrzebowałem operatora, bo jak grałem, to ktoś musiał filmować. On był moim pierwszym operatorem. Takie były początki – paru znajomych. Potem już używaliśmy światła na dworze, bo ten w robocie, ten w szkole. Zanim się poschodziliśmy, było już pod wieczór. Była taka specjalna lampa 1000 watów. Za każdym razem, jak ją włączaliśmy, to sąsiad gadał – patrz, jaką mają fajną spawarkę, pewnie szwedzka, malutka, a nasza taka duża. Kręciliśmy w domu sceny napadów. Pamiętam, jak z taką opaską jak Zorro, w oprychowie, wchodził przez okno mój kolega, a we wsi rejwach, milicja, że do nas się włamują. Takich drobnych zdarzeń było mnóstwo.

Był u nas Dom Kultury RSW Książka Prasa Ruch, taki klub. Wtedy był w starej szkole w Bojszowach, dzisiaj jest tam gmina. Często chodziłem tam wieczorami – tam rozmawialiśmy, tam werbowałem ludzi do nowego filmu. Prosiłem, żeby zbierali stroje po starych dziadkach, kapelusze, to będziemy western robić. Tam pokazywaliśmy to, co już nakręciliśmy. Przychodziło mnóstwo ludzi, zawsze była kupa śmiechu. Sosna, prezes GS, powiedział – głupotki robicie, a tu są sprawy poważne, trzeba nakręcić o akcji żniwnej, jakieś zebranie GS, będziemy wybierać nowe władze, moglibyście to nakręcić. Ale jak to zrobić kamerą bez głosu? A to ja pomogę. Dał pieniądze i razem pojechaliśmy do Katowic, kupił lepszą kamerę, synchronizator, projektor i magnetofon. Kręcimy pierwsze zebranie, mnóstwo ludzi. I jak to na wsi – czemu nie ma nawozów, czemu nie ma tego, tamtego. Prezes był rad, bo miał pod sobą magnetofon, wszystko nagrywał, my kręciliśmy. Światło na tego, co chciał zabrać głos, i kręcimy. I ten, co chciał coś tam krytykować, to jak na niego światło poszło i kamera, to tracił rezon. Prezes zadowolony, bo miało być Bóg wie co, a tu cisza. Prezes płacił za taśmy. Różne rzeczy były u nas organizowane w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, ja to filmowałem, a on na to dawał pieniądze. W Bojszowach za peereelu było, jak wszędzie – nagie haki. Jak przyjechało



mięso, pół wsi stoi w kolejce, a ja wchodzę bez kolejki. Ja nie po mięso chodziłem, chodziłem do tego rzeźnika, to był GS, prezes mi dawał kartkę – proszę mu wypłacić 1000 zł. Na taśmy. On z mięsa skasował, na konto prezesa mi wypłacał i jechałem do Katowic po taśmy. Tak filmowałem, żeby połowa taśmy starczyła prezesowi, a połowa dla mnie, już na fabułę.

Wcześniej jeszcze prezesa wyprzedził taki rolnik. Były trzy grupy tych, co mieli konie. Była taka grupa propolska, przeważnie krakusy – Wiśniowscy, Machury, Rogalscy, kiedyś dostali herby, prawdopodobnie w czasach potopu szwedzkiego. Szwedzi tutaj nie doszli i krakusy uciekały na Śląsk. To byli zamożni rolnicy. Była opcja niemiecka – Mayery, Bergery, Foreitry. I jeszcze był Raszka i jeszcze jeden – Czesi. Jak poszedłem do Raszki, to zanim dał konie, to pytał, a dał Niemiec, a dał Polak? Więc najpierw chodziło się do Polaków. Robota robotą, ale jak trzeba jechać końmi do filmu, to oni byli pierwsi. Ludzie mówili – dzisiaj nigdzie nie pojedę, dzisiaj jedziemy do filmu. Baby to były złe na nas za to.

I ten rolnik mówi – ja wam koni nie dam, wyście są za smarkaci, sam pojedę. Ubrał się tak, jak się u nas chodzi w pole – skórzane wysokie buty, obciste spodnie (jak się to mówiło, na dyszel szyte), kamizelkę, koszulę w kratę, flanelową, bo na kopalni takie dawali i chłopi to odkupywali za wódkę, kapelusz pszczyński, ten z dużym rondem. Na szyi związał sobie turecką chustę. Pytam – dla szpanu? Nie. Jak jeżdżę po polu, pot się ze mnie leje – tu leje, tu bat, tu wajchy od maszyny – to chustą wycieram pot, a potem ona schnie na plecach. Robił dokładnie to samo co kowboje. I widzę, że tu w Bojszowach jest tak jak w Teksasie. Zapiął pas z koltem i już był gotowy, jedziemy. Kończymy ujęcia i ja mówię – teraz pojedziemy na skatę. Za Bojszowymi były kamieniołomy. On na to – ja nie mogę po południu, wy teraz mnie tu zabijcie i ja sobie pojedę do domu. Już zrozumiałem, że można na filmie człowieka zabić, żeby go wyeliminować z roli.

Kręciliśmy *Napad na dylizans*. Grałem głównego bohatera, ostrzeliwałem się na dylizansie, a zza walizki kręciłem z ręki, jak na koniach najeżdżają na nas Indianie. Nie widziałem, co kamera bierze, celowałem na wyczucie. Cudowne rzeczy. Przed dylizansem jechał na wufemce operator, zapięty paskiem do pleców tego pierwszego i kręcił w ruchu. Jak było to wszystko gotowe, tośmy pękali ze śmiechu. Czwórka koni. Nie chciały lecieć po łące, płątały się, bo nigdy tak nie jeździły, leciały według polnej drogi. Wyszło na to, że jest polna droga, jedzie dylizans, jest napad Indian wśród kwitnących kartoflisk, co niektórzy Indianie napadają na nas piechotą, bo nie starczyło koni. Wpadli w pokrzywy i podskakiwali poparzeni. Ale to już udało się opanować, bo nie montowałem kamerą, bo już były dwie. Było mnóstwo sklejek, nie było kopii, żeby potem bez sklejek puszczać. W domu miałem taki stół montażowy na korbkę, mała lampka i ekranik. A pierwsze filmy montowaliśmy na projektorze. Nie mieliśmy negatywów, pracowaliśmy na tzw. slajdach, każdy film miał tylko jedną kopię. Nie było negatywu, z którego w przyszłości można byłoby coś odtworzyć. Jak chciałem mieć nagranie wideo, to musiałem film puszczać na ekran i kamera zbierała to z ekranu, dopiero na wideo mogliśmy udźwiękować.

Jedyny film, *Człowiek znikąd*, był robiony w Poltelu w Katowicach, zrobili nam wtedy drugą kopię, a z boku był nalep dźwiękowy, mieliśmy setkę. To był rok 1984, ale ja go robiłem w 1980 r. Wszystko się waliło, potem stan wojenny. Gdańsk stoi, a ja próbuję zdobyć taśmę. W stanie wojennym kamery szesnastki miały być zdane, ja nie zdałem i dalej kręciłem film. Jechałem na plan robić napad na bank, miałem worki z napisem Yuma Bank, dolary malowane, rysowane, proch, karabiny, oczywiście flagi amerykańskie. Zatrzymuje mnie milicja, bo podrzucałem znajomego i źle stanąłem. Dokumenty, otwierają bagażnik! Strasznie mi się śmiać chciało, ale milicjanta zatkało. Wypakować wszystko! Wokół auta ustawiam pionowo strzelby, flagi amerykańskie, te worki z pieniędzmi. Mijały nas auta – kurde! Wpadł, do „Solidarności” to wiozł! Staliśmy tak dobre pół godziny, jeden z tych milicjantów wiedział, że kręcę filmy. Teraz wam się chce kręcić takie głupoty! Dobrze, że do tego prochu nie doszli. W końcu wszystko kazali mi zabrać i uciekać. Potem spokojnie zaczęliśmy te nasze wybuchy, wszystko drży, my kręcimy.

**B.P. – Polityka kulturalna, dofinansowania, koniunktura – to, jak widzę, dla pana nie był żaden problem. Takie rzeczy panu skrzydeł nie podcinały.**

**J.K. –** Jak mnie przy różnych okazjach pytano, czy mam marzenia, to odpowiadałem – ja swoje marzenia realizuję. Dzięki tej mojej uduchowionej wsi. Jak poszedłem do zespołu Bojszowian, folklorystycznego, czy do tych chłopów od koni, oni mi nigdy nie powiedzieli – nie. Ja realizowałem też ich marzenia. Miałem kolegę, który ileś razy przeczytał książkę o Indianach. Jak go przebrałem za wodza Indian, to już nic nie musiałem mu mówić. On był lepszy ode mnie, wiedział wszystko. Następny był taki, który za komuny nigdy nie pracował. Powiedział – komunie ani grosza nie oddam. Ciągle go nękała milicja. Piękny Antonio. Pod naszym starym kościołem jest taki napis – ten kościół budowali fundatorzy Biberszteini, panowie Bojszów i Jedliny. I on zawsze mówił – jam pan Bojszów i Jedliny. Zginął tragicznie w wypadku samochodowym. Jakoś to wyczułem, bo przyspieszyłem robotę. On miał w moim filmie zginąć, zabiłem go wcześniej, i on za tydzień nie żył. To był ciekawy człowiek. Jak w stanie wojennym go zamknęli, założył głodówkę. Puścili go i dostał nakaz pracy do lasu. Jak go zobaczył leśniczy, to jęknął – Boże, największy kłusownik do mnie do roboty! Na



drugi dzień ten Antek skłusował sarnę i leśniczy go przy tym chwycił. Panie leśniczy, niech pan zapomni o tym, co pan widział. Po mnie nikt nie będzie płakał, po panu mnóstwo. Leśniczy zapomniał. Wyciepał go z roboty z zakazem wstępu do lasu. Potem dostał nakaz pracy na Czeczot. Bojzowy są otoczone lasem, a Czeczot jest za lasem. Ani razu nie poszedł do roboty, bo miał zakaz wstępu do lasu. On realizował się jako taki buntownik. Tylko mnie podawał rękę i tylko do mnie przychodził, do filmu. Starszy ode mnie o dziesięć lat, byłem dla niego smarkaczem, ale podobało mu się, co robiłem, chciał brać w tym udział.

Nakręciłem taką trylogię: *Człowiek znikąd*, *Full śmierci* i *Wolny człowiek*. W tym ostatnim zagrał autentyczną postać niejakiego Lontzika z Biasowic. Tam było stare zamczysko, tuż przy granicy, zaraz jest Wisła. Lontzika – z nazwiska nasz, ale z ducha Niemiec. Dla hrabiego Biasa miał naszych podsłuchiwać, o czym gadają. Wszystko wiedział o Ślązakach i nasi o tym wiedzieli. Jak się powstanie zaczęło, to oni go zabili kopaczkami, takimi, co się gnój kopie. W moim filmie nie zginął od motyk i wideł, tylko jak w westernie, w pojedynku. Główny bohater filmu, który był w Teksasie, wrócił do kraju. Musiał wrócić, bo ścigał go Ku-Klux-Klan. Na Śląsku dalej jest buntownikiem. Jak się dowiedział o powstaniu, to przyjechał na powstanie jako rewolwerowiec. Kogo? Lontzika? Ja go załatwię. Idę po ciebie. Są takie sceny – nogi, ostrogi, zbliżenie, dochodzi do pojedynku na takim długim korytarzu tego dworu i on ginie, na balkonie. I za tydzień ten Antonio zginął.

Siedzieli chłopcy na dole, na „Piaście”, podczas stanu wojennego. To był ostatni strajk w Polsce. To byli moi aktorzy. Jak się potem pytam – chcecie grać w filmie? Kogo? Jako człowiek na koniu, wolny. Tak, żeby tego Jaruzela kropnąć! Tak odreagowywali, bo w filmie można zabić bandziora. Ja im fundowałem wolność – w filmie mogli się przemieszczać na koniach. Wolni ludzie.

W Krakowie *Człowiek znikąd* był pokazywany w kinie „Mikro”. Przywoźłem tam stroje, całe kino było przebrane na Dziki Zachód. W holu leciały moje filmiki, te pierwsze nieme westerny, taper grał na pianinie. Do kina za niską odpłatnością mogli wejść tylko ludzie, którzy przebrali się na western. Był zespół Sweet Mizery z „Piwnicy pod Baranami”, miał w swoim zespole dziewczynę z Kentucky, która tutaj studiowała. Prowadzący powiedział, że gdyby ona była w Ameryce, to traciłaby czas na zakupy, wybierała, przebierała. A tu dostała kartkę, wykupiła towar i ma czas śpiewać. Zaczyna się film. W połowie filmu robimy przerwę. Kierownik kina, szeryf, wprowadza mnie w kajdankach jako tego, który zrobił film bez zgody tych najważniejszych władz filmowych w Polsce, poza strukturami. W tym momencie ma wejść bandzior, to był szwagier tego kierownika kina. Był już załadowany ładunkiem z krwią, tak jak ja to robię w filmach. Miało to być tak, że jak mnie aresztują, to on wpada i mówi – nie, nie będzie aresztu, ja go zaraz rozwalę! Wyjmuje strzelbę, ja wtedy szeryfowi wyciągam pistolet i mam strzelić, ale kajdanki mi weszły między spust. On na szczęście jeszcze nie włączył tej krwi, ja zrzuciłem kajdanki, strzeliłem i na mój huk on włączył krew. Trysnęła. Konsternacja, facet rozwalony, krew się leje, nawet na ekranie trochę jej było, złapali gościa. Dopiero potem oklaski, że to pokaz. I film szedł do końca. Ostatnia scena – główny bohater przyjeżdża z żołnierską flagą nad groby poległych Ślązaków i mówi – chłopy, ja już zemścił się za was i za siebie, a teraz jadę przez tę wielką wodę na Ślązek, kaj pewnikiem wiele się zmieniło, ale nie wiem, co mnie tam jeszcze czeka. I zrobił się film polityczny, bo ludzie krzyczą – nie przejeżdżaj, bo tu inny bandzior cię czeka! A on jeszcze mówi – najlepiej umierać na swojej ziemi, a ludzie krzyczą – tak, tak, w kazamatach i więzieniach UB! Ale nic się nie stało.

### B.P. – A może ubecja traktowała pana niepoważnie?

J.K. – Do 1980 r. robiłem wszystkie swoje filmy na ósemce. Potem pomyślałem sobie tak – mam trzydzieści lat, stary chłop, ileż ja jeszcze będę z tymi pistoletami latał. Zrobię podsumowanie westernu na szesnastce, to taśma półzawodowa, telewizyjna. Kupiłem z ogłoszenia kamerę w Żywcu. Ruska kamera, nakręcana na sprężynę, trzy obiektywy. Musiałem się tego wszystkiego nauczyć. Zaczynam tego *Człowieka znikąd*, to podsumowanie westernu, w lecie 1980 r., kiedy zaczynają się strajki, wszystko się wali. Nie mogę dostać się do taśm. Potem trochę tego wywalzonego przez „Solidarność” luzu. Film jeszcze niegotowy – stan wojenny! To tyle mi pomogło, że nocami, kiedy nie można było chodzić, montowałem te zrobione rzeczy. Zabrakło, na wiosnę 1982 r. muszę dokręcać. Dokręcam pewne sceny i już jest telewizja amerykańska na planie, telewizja Katowice, wozy transmisyjne. I telewizja katowicka nie chce współpracy z Amerykanami. Musieliśmy grać osobno dla jednych i dla drugich. Potem tu, w Pszczynie, bo tu w piwnicy jest saloon – znowu osobno, bo odmawiają sobie współpracy. Wcześniej był u mnie Dan Fischer z Los Angeles Times, amerykańskie auto, tabliczka CD. W 1983 r. była u mnie telewizja amerykańska, angielska, niemiecka, prywatne stacje. Na planie było u mnie ponad dwadzieścia stacji telewizyjnych z całego świata. A moi sąsiedzi to szef milicji i pułkownik WP. Więc potem brali mnie na spytki. Ja nie byłem przesłuchiwany, ale w Pszczynie było nawet na mój temat niemalże posiedzenie KC. Byłem wciąż obserwowany. Pytali przy różnych okazjach, a dlaczego Dziki Zachód? Po co western? Kto panu to każe robić? Ale ktoś tam był jakiś mądrzejszy, kto spostrzegł, że to naprawdę jest niewinne. Jak widzieli ten film, to nie było tam niczego, co by godziło w cokolwiek i w kogokolwiek. I widzieli, że jest to kupa roboty zrobionej w miarę dobrze, własnymi rękami.





**B.P.** – Dostawał pan kiedykolwiek jakieś dotacje na swoje filmy?

**J.K.** – Nigdy. Był taki okres, kiedy Dom Kultury w Pszczynie płacił mi za udźwiękowanie filmu i wydanie kopii. To był rok 1984. Tę kopię przejęło Śląskie Towarzystwo Filmowe i rozpowszechniało ją w DKF-ach, w dużych miastach. Dopłacałem do tego interesu, jak musiałem jeździć na prelekcje. Za pokaz płacono ŚTF.

**B.P.** – Pana aktorzy, jak wchodzą do filmu, zaczynają żyć inaczej, bo zaczynają dostrzegać jeszcze inne możliwości w swoim życiu.

**J.K.** – Teraz robiliśmy film *Bracia*. Była kręcona w starym domu scena – bracia żegnają się z ojcami i idą na powstanie. Widzę, że do sieni wszedł Stasiu, o którym gadają „angielski ksiądz”, nawiedzony. Zaczynałem z nim chodzić do szkoły, ale on już był chory. Później skończył szkołę specjalną. Taki zabiedzony wiejski chłopaczek. On przyszedł, stał i patrzył, co się tam dzieje, a że mnie zna, to się nie bał. Wszedł w bereg. Pytam kamerzysty – jak to filmowałeś, widziałeś go tam? Jego nie było widać, tylko rękę. Powtórzmy to jeszcze

raz. Stasiu, ten beret schowaj sobie do kabzy, tu masz kapelusze i stań w sieni, i słuchaj, co my tu gadamy. Jaka to fajna scena wyszła! Słychać z dworu, jak gra orkiestra dęta, jest pożegnanie, matka z ojcem żegna się do powstania, a on zagląda. On pierwszy, jak zabili tych powstańców, przybiega do okna i krzyczy: Wszyscy zabici, wszyscy zabici! Zagrał w filmie. A w poprzednim filmie sprzedawał balony na odpuszczenie. Trzymał balony i śmiał się, cieszył, bo ludzie mu płacili. Tak jest bardzo często – ja szukam ludzi, szukam, a potem grają ci, którzy przychodzą popatrzeć. Niektórzy z nich to już są stare wygi, nie patrzą, gdzie jest kamera, grają tak, jak trzeba, nie szukają jej oczami.

Był kiedyś TVN na planie i robili wywiady. Jak ze wszystkimi porozmawiali, to przychodzą do mnie – widzieliśmy, jak pan jedną scenę grał chyba z piętnaście razy (bo jeden z takich biedaczków, zamiast pytać jednego w mundurze – tyś jest Hitler? mówił to twierdząco – tyś jest Hitler!). Dla niego człowiek w mundurze musiał być Hitlerem. No i pytają mnie, czy pan się nie boi, że pan tych ludzi ośmiesza? A ja właśnie dlatego powtarzam nawet piętnaście razy jedną scenę, żeby była dobra, żeby tych ludzi nie ośmieszyć. Do filmu idą najlepsze rzeczy.

Przyjeżdżali do mnie tacy chłopcy na motorach, trzeba było zagrać Niemców. Jakoś tak ich ściągnąłem przez przypadek, przez internet, z Katowic, z Rudy Śląskiej. Jeździłem po nich jak po psach, bo oni się potem wygłupiali, wypili sobie nieraz i jeszcze bawili się na tych motorach. A jak film już był gotowy, to przyszli i dawali mi wizytówki. Jeden – adiunkt na uczelni, drugi – lekarz. Same szuchy, a ja ryczałem na nich jak na synków. Oni obejrżeli film i mówią – panie Kłyk, my przyjechaliśmy do pana powygłupiać się, rozerwać się, nie wiedzieliśmy, w czym braliśmy udział. Teraz już nie zagrać, bo teraz na koniach trzeba jeździć. Nawet na jeźdźcach będziemy jeździć!

Mam około czterystu, może więcej nazwisk ludzi, którzy grali w filmach, ostatnio już nawet nie zapisuję, pewnie byłoby drugie czterysta. Jednego dnia na planie bywa do stu ludzi, np. jak gramy wesele. Nie tylko z Bojszów. Czasami dzwonią ludzi, że chcieli by grać. Pewna pani, farmaceutka, zgłosiła się, przedtem tylko spytała, z jakiego okresu będzie film. Ubrała się sama, świetnie, świetnie wczuła się w rolę. Teraz jest taki czas trudny, że ludzie starzeją się, nawet młodzi odchodzą. Coraz więcej ludzi muszą brać w rameczkę. Nawet dzisiaj dowiedziałem się, że w Bojszowach umarła Erna, jedna z moich aktorek, jedna z wielkich postaci w moich filmach. Nigdy nie powiedziała mi „nie”, zawsze przychodziła w kieckach po mamie i grała różne role statystyczne, chłopca przyprowadzała, chłop grał, też już nie żyje.

Trochę jest taki dziwny zbieg okoliczności, że większość z tych, którzy w moich filmach grali i umierali, tragicznie odchodzą. Coraz więcej odchodzi w ten inny świat. W tym roku minie czterdzieści lat od momentu, kiedy kupiłem pierwszą kamerę. A większość tych, którzy grali w filmach, już nie żyją. Wciąż szukam nowych postaci. A to leci siłą rozpędu – ci, co grali, albo po obejrzeniu filmu, także ich synowie, teraz nawet ich dzieci, przychodzą – ja bym też chciała zagrać choć raz w kieckach, na pamiątkę, bo moja babka chodziła w kieckach. Nauczycielki w szkole też już wiedzą, że wojna nie ominęła Bojszów, ta historia jest w moich filmach.

Nie umiałbym zrobić współczesnego filmu. Współczesne życie mam na co dzień, dookoła, w telewizji. Po co mam się tym w filmie zajmować? Zawsze ciągnęło mnie do tego, czego już nie ma, a znam to z opowieści. Chcę to ożywić i ocalić. W *Czterech synach...* na filmie ocaliłem osiem budowli, których już w Bojszowach nie ma, w *Braciach* to samo – po pół roku już nie było starej stodoły, części koszar w Jedlinie, starego domu itd. W Bojszowach i dookoła tak się zmieniło, że za chwilę będę musiał wejść do skansenu w Pszczynie czy w Katowicach. Teraz chcę jeszcze raz wrócić do II wojny.



### B.P. – Sam pan odkrywa te nowe historie?

**J.K.** – Rozmawiam z ludźmi, ale też dostaję listy – do siebie, do posta Alojzego Lysko. Taki list – jest człowiek z Raciborza na wojnie jako wehrmachtowiec. Jest wojna w 1941 r. z Rusami. Oni jadą, stają na jakiś czas we Lwowie, w koszarach. Przychodzi pod koszary kobieta z dzieckiem. Umierają z głodu. Przyszła do Niemców w nadziei, że dostanie coś do jedzenia. Podchodzi, a oni po polsku gadają, bo Ślązacy. Chłopy poratowały ją jedzeniem, a jeden mówi – dziouoszko, nie chodź tu pod koszarami, bo będą źle o tobie gadać. Przychodziła codziennie, bo on jej zaczął nosić chleb, mleko, co się dało. W pewnym momencie powiedział – to jest ostatni dzień, tam masz pod drzewem worek i sześć chlebów, bo my jedziemy dalej na wschód. I jest rok 1956, może 1957. Lwowiaków przeciepli na Ziemi Odzyskane. Ten żołnierz jest na targu w Raciborzu i ona idzie z tym dzieckiem, podrośniętym już. To pan? Ja. Pomogła mu, bo był bijany jako wehrmachtowiec. Poszła do UB i powiedziała, że on jej życie uratował, chleb jej nosił. Dostał lepszą robotę.

Inne zdarzenie, z Bierunia. Koledzy idą na wojnę. Jeden jest żonaty, drugi nie. Na wschodzie ten żonaty dostaje kulkę, koniec, umiera, koledze tylko każe nieśmiertelnik odłamać i wycofywać się, bo Rusy idą. Rusy go nie dobiły, bo myśleli, że nie żyje. Przyszły ruskie dziewczyny do lasu po drzewo, patrzą, a on mruga i gada „mamo”. To chyba nie taki zły Germaniec, modli się. Ciągną go za mantel do chatupy. Chłop przeżył. Tamten przyjechał do żony, powiedział, że mąż nie żyje. Wojna skończyła się, on do niej jeździł. Jako wdowa wyszła za mąż za niego. Mieli troje dzieci. W latach pięćdziesiątych wypuścili

von Paulusa z grupą żołnierzy. On się z nimi wy dostał. Puka do chatupy, w tazi. Żona, troje dzieci i jego przyjaciel. Ja już mam temat. Będę to robić, połączę te dwie historie.

Mnóstwo takich zdarzeń niesie życie. Mogę pokazać, jak na wschodzie zginął ojciec Alojza Lyska, mogę pokazać, jak Rusy do Bojszów wlażyły, tu było lotnisko. Wiem, co Rusy robiły. I znam historię, jak pewien ojciec narobił śmierdzącego ciasta i wszystkim w domu porobił na ciele boloki (czyraki), do włosów nasypał mąki, że niby wszy. Wszystko takie debilowate, śmieci na podłodze. Jak Rusy zajrzały, to przez tydzień był spokój. Nie ukradli, nie zgwałcili, poszli dalej. Tak się ludzie ratowali. Moja mama była przebrana za synka, chodziła cały czas pomazana po twarzy sadzą z komina, przez tydzień. Rusiska nie przepuszczali niczemu na dwu nogach. Jednego Rusa rozstrzelali, bo babkę siedemdziesięcioletnią zgwałcili.

Teraz mogę wydłużać te ludzkie historie do lat pięćdziesiątych. Tematy same się proszą. Mam jeszcze wiele materiałów, które nie weszły do poprzednich filmów. Trochę dokręcić i jest następny film. To wszystko idzie za mną. Ze mnie się śmiali, jakież ty możesz robić, jak przekładasz to na westerny europejskie, a to robią zawodowcy, a ty robisz też europejskie, ale nie masz na to pieniędzy. To musi być knot. Feliks Netz, to jest taki nasz krytyk filmowy z Katowic, przyszedł na mój film *Człowiek znikąd* i napisał tak: poszedłem na ten film, bo jest zrobiony przez amatora, western pełnometrażowy. Toż to musi być knot, kupa śmiechu. Idę się pobawić. Potem powiedział – jestem bezradny, obejrzałem ileś tysięcy filmów i nie umiem tego ocenić. Czy jest to dobre, czy złe. Większość ludzi przy moich filmach nie wie, jak to ocenić. A ja myślę, że one nie są ani dobre, ani złe, tylko są prawdziwe. Pokazuję to, co się wydarzyło. Z autentycznymi ludźmi pokazuję prawdziwość życia.

Moje westerny, które miały być gorsze, z których mieli się ludzie śmiać, one nie są gorsze, bo ja mam temat. Jeśli ktoś pokazuje *Dziki Zachód* tylko po to, żeby się strzelać i ryczeć, tak jak te „spaghetti westerny” Włochów, to zawsze będzie to dziadostwo. A ja pokazuję, że tam byli nasi ludzie i mieli kłopoty z szeryfami, z Indianami, i z całą obcością, którą tam zastawali. I pokazuję to w prosty sposób, nie boję się kamery z ręki, bo każdy podskakuje na wystrzał. Poza tym często nie mam czasu na statyw, żeby go ustawić. Kręcę z ręki, mam układ pistoletowy i nacisk. Każdego uczę, jeśli sam nie kręcę, że ma tak kręcić, jakby strzelał z karabinu, przykładasz oko i ręka ma ci nie drgnąć. Ograniczeniem jest sprężyna. Amerykanie uczą tego teraz, takiego reporterskiego kręcenia. Różne eksperymenty ze światłem, sam musiałem do tego dochodzić, a za nimi stała cała historia Hollywood, doświadczenia setek tysięcy ludzi. Uczyłem się na swoich błędach.

### **B.P. – Teraz ma pan większą wiedzę, doświadczenie. Czy stykał się pan na początku z kinem amatorskim?**

**J.K.** – Cały czas wiedziałem, że istnieje kino amatorskie, że ludzie robią filmy. Był Amatorski Klub Filmowy Mikołów, był w Czechowicach-Dziedzicach. Mnie od początku nie łąpały te kluby. Zorientowałem się, że oni też mają problemy – nie mają taśmy, nie mają stolików montażowych. Ogłaszają festiwal. Czytam hasło – „Praca i człowiek”, 10 minut, więcej nie przyjmują. To się w dupę ugryźć, ja takiego filmu na pewno nie będę robił. Od początku nie szedł za mną dokument. Dokument wymusił na mnie Sosna, rodzina, bo jest wesoło, to sfilmuj. Mój kolega Wikarek ma ponad sto nagród jako filmowiec amator, Lenert, starszy ode mnie o dwadzieścia lat, jest w księdze Guinnessa, ma ponad trzysta nagród jako amator. Ale co za tym szło? Jak byłem pierwszy raz na pokazie, gdzie te nagrody dostawałem, to zobaczyłem towarzystwo wzajemnej adoracji. Nie było otwartych seansów.



Pytam się, dlaczego? Jeżeli w Bieruniu jest ogólnopolski festiwal filmowców amatorów i zakwalifikowało się 54 filmy i przyjechało 54 twórców, to czemu nie otworzyć drzwi, żeby przyszła klasa z liceum i żeby nagrodę dała publiczność? Ale to polega na tym, że leci film za filmem i są tylko twórcy. Sami sobie klaszczą, sami robią sobie rejwach, a jury siedzi i już z góry wie, komu ma dać nagrodę, bo potem jest festiwal w Kędzierzynie-Koźlu, potem w Koninie, potem jeszcze gdzieś. I oni wiedzą, jak mają zbierać nagrody. I coś mi z nagrody, którą dało mi jury, jak nikt tego nie ogląda? Widziałem w telewizji – najlepsze filmy czasami puszczały w migawkach. I obostrzenia z góry – nie dłużej niż dwadzieścia minut. I myśl, jak robisz film, że masz pilnować czasu i o tym, co lubi jury. Zamknięty krąg. Niektóre filmy są dobre, nie powiem, ale robione pod konkurs lub konkretnego człowieka. I ja mam na takie coś z moimi filmami pójść? Pokazywałem kiedyś film poza konkursem, ale jury się nie wypowiedziało, tylko oczami przewracali. Nie bardzo pasowało im, bo niby to gloryfikowanie Wehrmachtu, a ci Ślązacy nie byli aż tacy źli. To nie każdemu pasowało. Na festiwalu w Kędzierzynie-Koźlu puścili nasz film *Różaniec z kolczastego drutu*, nie byłem na tym pokazie. Machulski był w jury. Powiedział: to jest złe, to niemożliwe – jak można podczas wojny chodzić w pięknych, czystych kciekach? Im się wydaje, że podczas wojny wszyscy byli brudni, bo była okupacja. Nie było tak. To była okupacja Polski, oni Śląsk uznali za swój, przejechali tylko. Kto się podporządkował władzom, to nie miał wojny, trwało normalne życie. Dopiero jak weszli Rusy, to się zaczęło całe to dziadostwo. Oni nie rozumieją Śląska i nawet nie chcą się zniżyć do tego, żeby go poznać. To jest problem.

**B.P. – Siłą napędową tego, co pan robi, jest pana śląskość. Pan jest stąd i o tym chce pan mówić.**

**J.K.** – Urosło to do pewnej misji. Nigdy o tym nie myślałem, ale ktoś mi na to teraz zwrócił uwagę. Taka jest ta misja, żeby robić to, co już odeszło, żeby jeszcze zdążyć to opowiedzieć. To tak się zaczyna układać. Nawet jak robię film o Ślązakach w Teksasie, to po to, żeby ludzie zrozumieli kulturowość Śląska, więc ciągle robię retrospekcję na Śląsk – w jakim to czasie było i co się tutaj wtedy działo. Tu był zabór, były kłopoty, z Niemcem nie umieli się dogadać. Ja to pokazuję i potem wiadomo, dlaczego oni nie potrafili dogadać się tam w Teksasie – bo tam też Niemcy są. Byli wcześniej niż Ślązacy. Stąd uciekali ludzie na emigrację niejednokrotnie po to, żeby nie iść do pruskiego wojska, żeby się nareszcie wyzwolić. Tam się im obiecuje, że będą wolnymi ludźmi. Cóż to za wolny człowiek – przyjeżdżają do San Antonio i pola, które będą kupować, sprzedaje sędzia niemiecki, szeryfem jest Niemiec. A jak Polak pierze się z jakimś Amerykaninem, to zawsze zamyka się Polaka. Znowu wpadli w niemieckie łapy. To przekleństwo i tam się przeniosło.

Od tych niewinnych pomysłów na western powstała już cała saga westernu śląskiego. On jest specyficzny. Pokazuję kiecki śląskie na Dzikim Zachodzie. Tam jest wesele po śląsku, tam się piecze kotacze. To wiemy z opisów, że kowboje zostawiali swoje krowy i przyjeżdżali na śląskie wesele, bo nareszcie mogli sobie pojeść, bo na prerii to miał fasolkę i kawę-lurę. A tu kotacze, świniobicie, leberwurst, krupnioki, salcesony i inne rzeczy. Ale nie było lodówek, więc mięso suszyli na stońcu. I Ślązacy uczyli się tam czegoś nowego. Tu mieli cztery pory roku, a tam nie, trochę cieplej latem, trochę zimniej zimą. W Pannie Marii do dzisiaj stoi dom z 1858 r. – murowany, jak u nas, ściany grube. Tego w Teksasie nie znali. Przykryli to dachówką, małe okienka. I dom stał się twierdzą. Indianie napadają – to było autentyczne przeżycie Bena Urbańczyka. Zasiał kukurydzę, patrzy, coś tam się rusza, myślał, że krowa wlaźła. Poleciał z kopaczką, patrzy, a to Indianie. Więc w nogi. Wlatuje do domu, już dwie strzały miał w tyłku, szczęście, że nie zatrute. Zamknął się, dzieci na podłogę i zaczął się ostrzeliwać przez okna. A żona z tyłu mu te strzały wycinała. Indianie widzą, że nie da się zdobyć chatupy, to podpaliли strzały i strzelają tymi zapalającymi. A tu guzik, chatupa się nie pali. Wycofali się. Meksykanie w upalny dzień przyjeżdżali do niego wyspać się, na zmianę, bo chłód był w tej chatupie. Kłopot był, bo w tej temperaturze nawet gady szukały ochłody, więc żmije, grzechotniki, wszystko to wlaźło do tej izby. Przed spaniem musieli dokładnie przeszukiwać dom i wymiatać to wszystko, czuć, żeby ich co nie ukąsiło.

A zaczęli w ziemiankach. Większość z nich wcześniej służyła w Berlinie. Przyjeżdżają do Teksasu i tam im wypada w ziemiance mieszkać, przedtem widzieli kulturę, wielkie miasta, nagle – w średniowiecze. Jak wplynęli do Zatoki Meksykańskiej, to czekały na nich dwukółkowe wozy zaprzężone w woły i Meksykanie z wężami i pistoletami, i dwa tygodnie przez prerię. Baba poszła się wysikać, ugryzł ją grzechotnik i baby nie ma. Ksiądz Moczygamba, który ich tam sprowadził, musiał uciekać do Detroit, bo takie mieli do niego pretensje. Tam też umarł. Dopiero po latach sprowadzili go do Panny Marii, żeby go pochować. A on był założycielem Panny Marii. Tam do tej pory wszyscy po śląsku gadają. Jeszcze jest Częstochowa, Kościuszkowice, Święta Jadwiga, Święta Helena, Bandera. Ich mieszkańcy są potomkowie Ślązaków. Teraz tam mają ropę. Kiedyś im ziemia śmierdziała. Śmierdziała, bo z ropą. Teraz zbierają pieniądze, pompy kiwają się i produkują im dolary. A farmerują na *corn* i *cotton*. W większości tamci Ślązacy byli z Opolszczyzny.

Z Bojszów pierwszy był tam stary Dubiel, był w wojskach US Army, które ostatnich Indian zapędziły do rezerwatów. Na przełomie wieków przyjechał z powrotem, nie był Ślązakiem, był zza Wisły, czyli był cesarakiem, z Galicji. Na Śląsk przeszedł za pracą. Paś u Wiśniewskiego krowy. Jak paś krowy, to się rozniósł, że był w Ameryce. Pytali go



– gdzie ta Ameryka? Tam, gdzie słońce zachodzi, trzeba przepłynąć Wielką Wodę. I tam, gdzie on pokazywał, na zachód, powstała w Bojszowach dzielnica zwana Ameryką. My jako bajtli do Ameryki chodziliśmy na jagody, na grzyby. Kiedyś raz na tydzień przez Bojszowy jakieś auto jechało. Ktoś przejeżdża i pyta – jak do Nowych Bojszów dojechać? A, pojedziecie do Ameryki i potem w prawo. Był taki Pietrek Sklorz, urodzony w Buffalo w Ameryce. Tam mu zmarli rodzice. Miał dwadzieścia kilka lat, jak przed wojną wrócił. Za dolary kupił sobie pole od księcia pszczyńskiego i postawił dom. W 1939 r. mu gadają: aleś ty głupi. Wojna będzie, po coś ty z tej Ameryki przyjechał. On gada: niech strzelają na drodze, ino niech mnie na plac nie włożą. Myślał po amerykańsku, o prywatnej własności. I w 1939 r. z winchesterem koło furtki stał, a potem musiał się ukrywać, bo powiedzieli, że z karabinem czekał. Przeżył. Umarł w 1968 r. Nosił czarne kapelusze, miał białą brodę jak Mormon. To zdarzenie też w moim filmie zaistniało. Kiedy kończyłem trylogię *Szlakiem bezprawia – Człowiek znikąd, Full śmierci i Wolny człowiek*, to ona się kończy w ten sposób, że główny bohater, który ma przeszło osiemdziesiąt lat, jest wyjęty spod prawa, bo walczył podczas powstań, potem z polską policją zadarł. Z lasu wyciągnął go Hitler, jest rok 1939, wojna. Słucha radia w chałupie, jak Hitler przemawia w Reichstagu, a na jego plac już Niemcy wjeżdżają. Ale on myśli po amerykańsku i mówi, że mu na plac mają nie wjeżdżać. Wychodzi z laską, z pistoletami pod płaszczem i mówi, żeby się zabierali. I rzuca tę laskę, w której są ładunki wybuchowe z kopalni. Wybuch i on strzela do Niemców. Jest pojedynek na placu. Oczywiście dostaje serię i umierając, widzi, że nie było to daremne, bo przez płot w pełnym galopie skacze ułan na koniu, na wolność. Ale on tego nie widzi, w umierających oczach widzi siebie, jak jedzie przez prerię o zachodzie słońca.

Ślązacy uciekali stąd, żeby nie iść na wojnę, a tam zaraz musieli iść na wojnę secesyjną. Byli w niej po stronie Południa, czyli nie walczyli o swoje ideały. Po stronie Unii

walczyło wielu Polaków, oni się dogadywali i przechodzili na drugą stronę. Wracali po wojnie secesyjnej jako zdrajcy Południa, w niebieskich mundurach. Złotko wracał ostatni, bo jeszcze trochę szwendał się po Ameryce. Spotkał po drodze krzyż, a to pewnie tu są Ślązacy. Ale patrzy, jakieś śmiertki się wokół niego plączą. To był Ku-Klux-Klan, chcieli spalić krzyż. Nie mógł oczywiście na to pozwolić, doszło do strzelaniny, wybił ich. Zadarł z nimi. Gdy był na prerii ze swoim bydłem, wystrzelali mu rodzinę. Pomścił ich i wrócił do kraju. Tu oczywiście zadarł z Niemcami, bo to jeszcze były czasy zaboru, a to był człowiek, który miłował wolność. Wyglądał jak Zorro, płaszcz, pistolety. Pomagał ludziom i znikał. I to w filmie *Full śmierci*.

Robię następny temat – *Dwaj z Teksasu*. Znowu na autentycznych zdarzeniach. Marcin Mróz to był śląski bandyta. Podpatrywał Indian. Pierwszą ofiarą w Teksasie był Teodor Kindla. Był u cesarza niemieckiego żołnierzem jako ułan. Jak wyjechał, powiedzieli mu, że nie ma innej roboty, tylko kowboj, to siadł na konia. Nie znał języka. Krowy paśli Teksańczycy z Meksykanami, przytączył się do nich. Indianie podkradali im krowy, po dwie, trzy. Oni o tym wiedzieli, ale mieli spokój. A tamci też byli najedzeni. Widział to Ślązak. Płacą mu za pilnowanie stada. Więc ruszył na tych Indian. Ogląda się, ale tamci nie jadą za nim. Sam zaatakował Indian. Dostał parę strzał, oskalpowali go, wykrwawił się i umarł. Wszystkiego tego świadkiem był młody Marcin Mróz – widzi, Indianie kradną i nikt ich nie karze. Zaczął robić to samo. Zaczynał od kradzieży pojedynczych sztuk, ale potem zorganizował bandę i gnali całe stada przez Rio Grande do Meksyku i tam sprzedawali. Był coraz bogatszy i były już za nim listy gończe. Teksas Rangers już za nim węszyli. Ożenił się z najładniejszą dziewczyną w okolicy. Miała ojca Ślązaka i matkę Meksykankę. Gadała po śląsku. W drogę wchodził im John Wesley Hardin, największy rewolwerowiec w Teksasie, bo podobana mu się ta dziewczyna. Chciał ją odbić, już przygotowywali się do pojedynku, do którego nie doszło, bo zginęli z rąk Teksas Rangers.

Niektórzy ludzie myślą, że ja to wymyślam. A to wszystko jest prawda. Chciałbym jeszcze, gdyby była taka możliwość, zrobić film w Teksasie. Tam była telewizja z Katowic i ja dostałem od nich materiał filmowy, krajobrazy, krowy. Już nie mam udawanego Teksasu w Bojszowach, ale mam prawdziwy. Tutaj dokręcałem sceny obyczajowe, pojedynki, pole kukurydzy. Był jeszcze jeden Śląski Amerykanin, Manek Uszok, już nie żyje. Był przedwojennym nauczycielem, był w polskiej armii i w 1939 r. przez Rumunię wylądował w Francji, był w polskim wojsku i po wojnie zabrał się do Ameryki, ale przyjeżdżał tutaj. Tam działał w klubach kombatanckich i uczestniczył w jakichś ćwiczeniach NATO. Jak on tu przyjeżdżał, to nasi patrzyli na niego jak na szpiega. Często z nim rozmawiałem i pokazywałem mu zdjęcia z tych miejsc, które ja tutaj budowałem, żeby grały tę osadę Panna Maria. On myślał, że to zdjęcia stamtąd, bo ja odtwarzałem to, co miałem na zdjęciach, a krajobrazy są podobne, bo jest płasko, a krowy mogą zagrać nasze, bo tam też są czarne, i czerwone z krótkimi rogami. Ktoś mi zarzucił, że na moich westernach za dużo pije się piwa, bo tam pije się whisky. Tak, ale ja pokazuję Ślązaków tam, i oni tam pili piwo, bo Niemcy pobudowali browary. Jest scena – miasteczko, bandziory popijają przed barem, nudzą się. Zajeżdża dylizans, wysiada dziewczyna w kieckach, a obok niej wysiadają inne dziewczyny. Nasze kiecki są do pół łydki, a te suknie w westernach, to nóg nie widać. Chłopcy, patrzcie na nogi i mlaskajcie. Szeryf musiał rozgonić całą tę hołotę i wybawić ją z tej sytuacji. Nakręciłem to. Potem w jakiejś książce czytam list: „Pisza do Johana, do Śląska. Ja, Moczygamba pisza, nie biercie Hance kiecek, bo u nas to ino na grzech a poniżenie”. Ja o tym nie wiedziałem wcześniej, ale tak sobie to wyobraziłem.



## B.P. – A skąd pan czerpał swoją wiedzę historyczną? Czy tylko z opowieści?

**J.K.** – Wiele wiem z literatury, choć ona była trudno dostępna w tamtym okresie. Szukałem w bibliotekach. W ten sposób znalazłem opowieści o Ślązakach z Brazylii. Czytałem o wojnie secesyjnej, tam było trochę wiedzy; o wojnie między Meksykiem i Teksasem. Grzebałem, potem znalazłem Brożka *Ślązacy w Teksasie*. Poza tym czytałem literaturę westernową, nie mówię o powieściach, ale o opracowaniach historycznych. Oczywiście uczyłem się na filmach. Dla mnie szkołą kręcenia było patrzeć na filmy kinowe, przez dziewięć lat byłem operatorem w kinie. Westerny grało się po pięćdziesiąt razy. Za peerelu dostawało się premię, jak grało się filmy demokracji ludowych, za zachodnie i amerykańskie nie było premii, a na nich robiliśmy największą kasę, więc okłamywało się. W raportach pisaliśmy, że puszczałyśmy ruski film i stąd te pieniądze. Potem było to w statystykach, jak nasi widzowie lubią radzieckie filmy. Na polskich filmach też nie było zbyt wielu ludzi. Na każdym filmie starałem się patrzeć na błędy, czy je znajdę, jak już któryś raz go oglądałem. Nawet w *Casablance* znalazłem, przy papierosie. Humphrey Bogart rozmawia, paląc papierosa, a papieros zamiast się zmniejszać, to się zwiększa. A tego powinna pilnować sekretarka planu, mierzyć długość tych papierosów przy kolejnych ujęciach. Jak jadę na plan, to muszę pamiętać o bardzo wielu rzeczach, o igle, niciach, drucie itd.

Wracając do książek, dostałem historię napisaną przez Amerykanina o Pannie Marii i ludziach stamtąd. Oglądałem w telewizji dokument Gary Coopera *Prawdy i legendy Dzikiego Zachodu*, to też było ciekawe. A jak byłem dzieckiem, to przy tym telewizorze w karczmie siedziałem od rana. Ale we wszystkim jestem samoukiem. I zawsze byłem wolnym człowiekiem.

*Wszystkie zdjęcia z planów filmowych pochodzą z prywatnego archiwum Józefa Kłyka*



**Józef Kłyk**, urodzony w 1950 r. w Bojszowach na Górnym Śląsku, z zawodu kinooperator i technik budowlany, po 10 latach pracy w lakierni FSO w Tychach na rencie. Autor (reżyser, scenarzysta, scenograf, kostiumolog, charakteryzator, aktor) 10 filmów pełnometrażowych i ok. 90 krótkich filmów; nieprofesjonalny malarz (około 1000 obrazów olejnych i ilustracji książkowych o tematyce regionalnej). Twórca „filmów bez pieniędzy” – wszystkie produkcje filmowe zrealizował dzięki pracy własnej i życzliwości ludzi, przede wszystkim mieszkańców Bojszów. Przy niektórych filmach pomagały instytucje darując taśmę filmową czy dając stypendium na udźwiękowienie.